

## JÓZEF KISIELEWICZ

ur. 1945; Hrubieszów



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin, PRL, UMCS, ojciec, Jan Kisielewicz, Grzegorz Seidler, ślub Grzegorza Seidlera

### Znajomość z profesorem Grzegorzem Seidlerem

Ojciec się przyjaźnił prawie czterdzieści lat z Seidlerem w sposób taki szczególny, przez pierwsze trzydzieści lat to szli na spacer, dzień w dzień, po miasteczku uniwersyteckim, a przez ostatnie dziesięć lat, kiedy ojciec zamieszkał w Bieszczadach na emeryturze, no to listy wysyłali jeden do drugiego, a ja przy tym paczki z książkami czasami przywoziłem od ojca do Seidlera i od Seidlera do ojca, bo mieli wspólne zainteresowania, a z książkami było coraz trudniej. Ja częściowo mieszkając w Warszawie, grzebałem po takich księgarniach niszowych i to jednego zaopatrywałem, to drugiego.

Oczywiście przez lata całe wcześniej Seidler mnie znał. Jeszcze lepiej mnie znał niż ja jego, bo on mnie poznał, gdy ja miałem tam szesnaście, siedemnaście lat, bywał u mojego ojca w domu często. A Seidler miał taki charakter, że bardzo lubił wiedzieć, co tam młodzież myśli. Dla mnie on był jednym z wielu facetów, którzy u ojca bywali. On nie miał własnych dzieci, był starym kawalerem, to wypytywał, co tam młodzież myśli o studiowaniu, o polityce, ciekaw był tej drugiej strony. I do tego stopnia był ciekaw, że później mnie zapraszał często do siebie do gabinetu, już jak studiowałem, do końca zresztą co jakiś czas. I wypytywał o to, o tamto. Był bardzo dowcipny, zdałem maturę, to mi podarował butelkę wódki koreańskiej z wężem w środku zwiniętym i ta żmijówka jest jakaś taka zmumifikowana i wódka jest do niczego, „To jakieś ryżowe świństwo – mówi do mnie – ale, panie Józiu, jak pan kolegów poczęstuje, to niech pan natychmiast dolewa polskiej wódki, żeby gadzina była cały czas w alkoholu, to będzie służyć i służyć. A jak nie, to łuski odpadną”. Zawsze mówił „panie Józiu” – per ty nigdy – albo „Józiu, niech pan uważa”. On z moim miał taką galicyjską zasadę, jak mówiłem, czterdzieści lat się przyjaźnili, spotykali się dzień w dzień, w deszcz w nie deszcz, odbywali rundę spacerów i też do siebie [mówili] „panie Janie”, „panie profesorze”. To takie było aż trochę z boku śmieszne. Mówił zawsze do mnie per panie Józiu. Czasami wpadał do redakcji, kolegium redakcyjne siedzi, a on z lachą: „Ja tutaj do pana Józia”.

Pierwszy raz jak mi pokazał gabinet, to tam w tym gabinecie było duże biurko, regały z książkami, a jeden regał duży był wypełniony kolekcją – zbierał stare polskie srebra, lichtarze, świeczniki, jakieś szkatułki, jakieś cukiernice, bardzo stare. Pokazywał mi lupką: „Widzi pan, który rok, niech pan czyta, tysiąc sześćset” i tam jakieś znaki, manufaktura. On to zbierał w czasie, gdy był w Krakowie i tuż po wojnie, kiedy wysprzedawało się dużo osób, on kupił sobie jako stary kawaler: „Nie miałem na co składać, tom kupował to”. Ta kolekcja z czasem zaczęła topnieć, a topniała w ten sposób, że on z tej kolekcji zaczął robić łapówki dla warszawskich dygnitarzy, żeby pieniądze przyspieszać, inwestycje lubelskie. Resztę podarował, co ocalało, UMCS-owi jeszcze za życia i to jest podobnie w gablocie, Pieniążek mi mówił.

Człowiekiem był przeuroczym i przedziwnym. Mówił do mnie: „Panie Józiu, niech pan z tym kolarstwem uważa, niech pan uważa, proszę pana, na mój wypadek”. A jaki miał wypadek, opowiadał, jak był na tym Śląsku w czasie wojny, nauczył się i polubił jeździć konno. Jak przyjechał do Lublina na rektora, to jeździł na przykład do Janowa Lubelskiego pojechać sobie konno. Tam ten szef stadniny, Kryszałowicz, się z nim przyjaźnił, wynajmował pokój i tak to trwało, aż kiedyś stado bocianów spłoszyło [Seidlerowi] konia, spadł, złamał rękę i przestał jeździć konno i tak po tym mnie przestrzegał, bo wiedział, że rowerem lubiłem jeździć. „Niech z tym kolarstwem pan nie przesadza”. Rower stał w przedpokoju, jak wchodził do rodziców, to zawadzał o ten rower.

Jaki był osobiście facet. Bardzo pracowity, bardzo zorganizowany, przemyślaną miał całą strategię swojego postępowania. Bardzo towarzyski, bardzo uczynny, niezwykle odcytany. Pewnego razu mi podarował Hermana Hessa „Wilka stepowego” i mówi do mnie: „O, panie Józiu, to ciekawy pisarz, niech pan go czyta”. A ja: „Czytałem wcześniej «Demiana»”. „O, to słusznie”. A ja mówię: „Pan profesor się wyzbywa ostatniego egzemplarza?”. „Ja już po niemiecku dawno przeczytałem, a panu to się może [przydać, żeby] sprawdzić, czy wersja jest dobra”. Kiedyś mi zresztą powiedział, że żałuje, że nie został pisarzem. Mówi: „Może nie należało się w tę politykę, w to wszystko pchać, może należało pisać, miałem talent, tak mi się wydaje, narracyjny, trzeba było pisać, a nie się z tym wszystkim zmagać, denerwować i tak dalej”. Jego marzeniem była kariera polityczna. To, co on robił dla UMCS-u, to była taka projekcja, że to pozwoli mu awansować potem gdzieś tam, wyobrażał sobie, że będzie ambasadorem w Nowym Jorku czy w Waszyngtonie albo wiceministrem i że dojdzie do tego w sposób taki zasłużony, poprzez to, co tutaj zbuduje z jednej strony, a poprzez pomoc polityczną, jakiej mógłby udzielić na przykład Kozdra, [z drugiej strony]. Jaki był w życiu osobistym. Był przedziwnym facetem, bo na przykład w pewnym momencie zaczął się uczyć angielskiego, sam – niemiecki znał bezbłędnie – już mając z pięćdziesiąt lat i do nauki sobie wziął mojego najmłodszego brata, żeby łatwiej było konwersować i tak dalej, uważał, że we dwóch będzie łatwiej. Opanował biegło później angielski, sam. Jak był dyrektorem Instytutu Kultury Polskiej w Londynie, to już strzelał po angielsku. Miał łatwość zresztą do języków obcych.

Z ojcem mieli zawsze jeden horyzont polityczny, żeby zobaczyć, co z tego wyjdzie lub nie wyjdzie – jaki jest do tego stosunek Izraela, do jakichś tam wydarzeń. I umieli dosłownie określić, jak co się skończy, dobrze czy źle. Uważali, że jest mieszanie się i że służby specjalne mają wpływ na losy świata, na różne wydarzenia. Nigdy do końca nie wierzyli, zawsze strzegli się podsłuchów. Gdzieś w [19]67 roku przyszedłem do rodziców zadzwonić, nie miałem telefonu i widzę, kocyk jest na telefonie. Pytam ojca, po co ten kocyk, myślałem, że go denerwuje głośny sygnał. A on mówi: nie, to Kozdra doradził, że ani przez telefon nie gadać, uważać, co się mówi, ani przy telefonie. Czyli de facto powiedział mu, że jest system podsłuchów. Do końca sam Kozdra nie wiedział, kogo podsłuchują, ale wiedział od szefa SB, że coś takiego zakładają i ten kocyk leżał. U profesora stało wielkie radio, takie siedmio- albo dziewięciolampowe, takiego w życiu nie widziałem, z Zachodu sobie przywiózł, oczywiście na tym radiu słuchał przede wszystkim Zachodu i to nie tylko tam jakieś rozgłośnie Wolna Europa, tylko w oryginale BBC, bo znał [angielski] język biegle czy niemiecki. Ale to radio, jak trzeba było porozmawiać, to też buczało. On często organizował takie spotkania, po powrocie ze spaceru szli do jego gabinetu z ojcem, a często dopraszali do dyskusji, tam kiedyś był szef lubelskiej esbecji, Marian Mozgawa i zażartowali sobie, czy można mówić swobodnie, czy nie można mówić swobodnie, chodziło o podsłuch. Ten się zaczął śmiać: ja wiem, że podsłuchy są, ale kto w jakim momencie [jest podsłuchiwany], poza jakimś tam aferzystą, to skąd mogę wiedzieć. Był jakiś tam kod z Warszawy, każdy teoretycznie mógł być podsłuchiwany, a czy był, czy nie...

Raz do roku, mówił do mnie, jeździł nad ciepłe morza, to taka atawistyczna – mrugał – słabość. Lubił się potaplać w ciepłej wodzie. Czytał, pisał te swoje różne rozprawy doktrynalne. Miał takie zwyczaje krakowskie, że lubił rano iść na kawę do Unii, jak Unia powstała. Miał swój stolik, zresztą na kawę to chodził prawie do końca życia, już później ze swoją żoną Halinką. Już po Marcu, kiedy załatwił mu Kozdra stanowisko dyrektora Instytutu Kultury Polskiej, Seidler mówi do mojego ojca: „Panie Janie, sprawa jest delikatna. Sam nie pojedę, bo kawalerów nie wypuszczają, a przecież nie zostawię Halinki”. Halinka była przez wiele lat [jego] partnerką. Zresztą mieli mieszkania obok siebie w tej samej kamienicy na Raabego. No, to mówi: „Co robić? No to żenić się wypada, ale, wie pan, jak ja bym zaczął się żenić, to tu zleci się połowa UMCS-u, reszty, to trzeba tak zorganizować jakoś, żeby nikt o tym nie wiedział. Pan będzie moim świadkiem, jeżeli pan się zgodzi, a drugi Czesiu Gofroń – Czesiu Gofroń mieszkał piętro niżej, a był profesorem prawa karnego – niech pan to tak zorganizuje, żeby nikt nie wiedział. Gdzieś najlepiej w niedzielę rano”. Ojcu podlegała również administracja cywilnych tych rejestrów, więc poszedł do kierownika wydziału spraw cywilnych czy innych, tam gdzie się te śluby odbywały, przy Bramie Krakowskiej. Nie wierzył w tajemnicę, więc wziął swój dowód osobisty, wziął dowód osobisty, żeby wcześniej przygotowano, Gofronia i dowód osobisty Halinki. I mówi, że panem młodym będzie osoba, która przyjdzie w niedzielę, wystarczy wpisać już tu

tylko to, co trzeba. Seidler sobie nie życzył żadnych marszy Mendelсона, bo oni tam z magnetofonów odgrywali, żadnych szampanów, żadnych gratulacji, niczego. Tyle, co jest konieczne, formułka konieczna i tak dalej. I tak to się odbyło, w niedzielę rano ojciec wpadł wcześniej z dowodem osobistym Seidlera, po godzinie Seidler przyjechał z panią Halinką, z Gofroniem i się odbyła ceremonia zaślubin. I Seidler mógł pojechać do Londynu.

Kiedyś mówi do mnie: „Pan to już, proszę pana, chrystusowe lata [ma] – bo ja długo się nie żeniłem – jak się pan będzie żenił, to mnie pan zaprosi”. Mówię: „Panie profesorze, oczywiście”. No i tak było, że gdzieś w [19]74 roku żeniłem się, mówię do ojca, [że] kiedyś mi profesor mówił, [żeby go zaprosić, ojciec] mówi: „Obiecał, że przyjedzie”. Wesele było aż w Białej Podlaskiej, żona pochodziła stamtąd, tam miała duży dom i ten dom został zaadaptowany na ucztę weselną. Ja patrzę, przyjeżdża profesor z żelazkiem, Braun pamiętam żelazko, mówi: „To taki angielski prezent. Oni tam wszyscy tylko z żelazkami przychodzą”. Sensacja była wielka, no bo było nie było, znaną był bardzo postacią. Ale chciało mu się jechać gdzieś tam z Lublina do Białej [Podlaskiej].

Sądzę, że mnie lubił, bo chętnie ze mną rozmawiał, wypytywał właśnie o młodzież, jak widzi, [na] co patrzy. Nie miał kontaktu takiego, te studenckie kontakty uważał, że są sztuczne. Za każdym razem uważał, że mnie fatyguje, to jak nie żmijówkę, to mi kiedyś taką puszkę japońskich mrówek wielkich podarował, mówi: „Jak pan to jako zakąskę kolegom podaruje, to padną z wrażenia”, bo to taka jakaś była odmiana mrówek, której u nas nie ma, do jedzenia takie mrówki. Czy na przykład, jeszcze nawet mam, kiedyś mi pejsachówki srebrne podarował, taki komplecik. Mówi do mnie: „Wie Pan – bo on alkohole to umiarkowanie pijał, nie lubił ani wina, ani wódki, ani piwa – lepiej mocniejsze, ale mniej, a pejsachóweczka to najlepsze, co może być”. Czy jakieś takie szczypczyki srebrne do zakąsek. Lubiał w ogóle obdarowywać ludzi. Widziałem, była w tym jakaś przyjemność. Napisałem o nim wielki artykuł, za który dostałem zresztą nagrodę, bo Tadeusz Fita był naczelnym redaktorem i sam o tę nagrodę wystąpił, no, był też uczniem tego profesora. To wparował do mnie do gabinetu, byłem zastępcą redaktora naczelnego: panie Józiu, żeby panu się jeszcze ładniej pisało – i taki komplet Parkera mi przyniósł, pióro, długopis i ołówek wieczny. Taki był, miał coś takiego w sobie, że lubiał obdarowywać, lubiał pomagać. Specjalnie się do niego o nic nie zwracałem, ale wiem, że gdybym się do niego o coś zwrócił, to bym pewnie [był wysłuchany].

Już po upadku ludowej demokracji życzył sobie mojego syna poznać, chciał wiedzieć, co tam młodzież myśli, jak patrzy, chwalił Balcerowicza na przykład i tak dalej, i tak dalej. Cały czas był ten taki wątek spotkania z młodymi.

<b>Data i miejsce nagrania</b>	2012-08-06
<b>Rozmawiał/a</b>	Marek Nawratowicz
<b>Redakcja</b>	Justyna Molik
<b>Prawa</b>	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"